Lwów, 18. Lipca **Nr 85.** Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Zlr. — półroczna **3** Zlr. — kwartalna **1** Zlr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Zlr.— półrocznie **4** Zlr.—kwartalnie **2** Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałec za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastęр.po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr.stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

III.

(Ciąg dalszy).

— Piękność jest bardzo względna, — odpowiedział bez namysłu Kamil, i nie może być nigdy dowiedzioną matematycznie; ale matematycznie dowiedzionem jest to, że idea żywotna nieskończenie więcej jest warta niżeli chorowity przesąd. I matematycznie dowiedzionem jest to, że swoboda twojego umysłu i serca więcej jest warta, niżeli pociecha twojej babki ztąd, że cierpliwie słuchać będziesz kazania jej kapelanów. Idea żywotna nawet nie powinna właściwie znać żadnych poświęceń, owszem przed nią powinno się wszystko uniżać, przed nią powinny rozbryzgiwać się chorowite przesądy, przed nią upadać w proch przestarzałe systemy i instytucye a jeżeli nawet całe pokolenia obryzgają krwią swoją jej promienną kolebkę, to tylko są to wypadki, idące swoim przyrodzonym porządkiem, i dające się wskazać prawie na każdej karcie historyi. Cóż dopiero powiedzieć o poświęceniu takiej idei jakimś drobnym pocieszkom dla otoczonych obłudnikami staruszek?

— A! tego, przyznam ci się, że nie rozumiem, — zawołał na to Edmund, nie dosłuchawszy z uwagą ostatniego sensu swojego przeciwnika; — tego ja nie rozumiem, żeby wchodząca w życie idea miała się koniecznie obryzgiwać krwią całych pokoleń. I to nie jest prawdą, żeby przykłady tego znaleźć można na każdej karcie historyi. Bo jużciż od stworzenia świata miliony nowych idei powchodziło w życie tak niepostrzeżenie, że nietylko krwi kropla nie padła na ich kolebki, ale nawet okazaniu się ich żadne nie towarzyszyły okrzyki. I to były idee największe i najżywotniejsze. I wprowadzali je ludzie jenialni, społeczeństwa rozumne, pomału i przez same półśrodki.

— Ja nie przeczę tego, — rzekł na to Kamil, ożywiając się coraz bardziej, — że i takich wypadków znajdą się przykłady w historyi, ale na nich oparta zasada była-by fałszem najwierutniejszym. Bo tylko w świecie fizycznym środek jest najsilniejszą częścią ciała. Ale w świecie moralnym obadwa extremata zawsze są silniejsze od środka. Więc cóż-by to za głupia była idea, która-by nie najmocniejszą ale najsłabszą stroną swoją uderzała w ten mur, który jej przebić wypada?

— Mój Kamilu! już zaczynasz mi mówić mglisto i kędzierzawo. Porównania tego ja nie pojmuję, bo idea nie jest taranem a *status quo* nie jest murem. Francuska rewolucya stoi ci przed oczyma i zaciemnia ci pojęcie idei w oderwaniu, — a idee są przecież różne w swojej istocie.

— Przepraszam ciebie, — poderwał Kamil, — nie dasz mi skończyć i dla tego mnie nie rozumiesz. A ja właśnie to chciałem powiedzieć, że idee są różne a ich wprowadzanie się w życie zawsze od ich rodzaju zależy. Więc chcąc się porozumieć dokładnie, potrzeba-by nam najpierwej rozgatunkować idee, orzec każdego takiego rodzaju cel i naturę, i dopiero mówić o środkach, za pomocą których które z nich zwykły wchodzić w życie. Bo jużciż rzecz naturalna, że inna jest ta idea, która ma być podstawą przyszłego bytu społeczeństwa, a inna ta, która ma stanowić szczęście człowieka, tak jak znowu inną była idea ta, na której zbudował swoją szkołę Pytagoras, a inna ta, dla której wypił cykutę Sokrates...

— A jeszcze inna ta, — podchwycił prędko Edmund, która się roi po głowach warjatów a która bodaj-by nigdy nie weszła w życie!

— A jeszcze inna ta, — zawołał na to Kamil, która w karmazynowy kontusz i pas złotolity, okrwawiona jak upiór i bez duszy jak upiór, wstaje z grobu po nocach i straszy blade potomstwo dawno pogrzebionych już ojców.

O! przepraszam cię bardzo! — odpowiedział Edmund z sardonicznym uśmiechem, — nie nas ona straszy, ale was straszy, którzy świętokradzką przeciw niej podnosicie rękę, którzy zamiast kwiatów, plugastwa rzucacie na jej marmurowy nagrobek, którzy się jej boicie jak piekła i oczu na nią podnieść nie śmiecie, bo jej nie pojęliście nigdy i do śmierci jej nie pojmiecie.

— Wyście ją pojęli na wylot! — rzekł na to Kamil, odpłacając ironię ironią, — szkoda tylko, że cokolwiek za późno. Ale nie myśl przeto, ażeby prócz was nikt więcej jej nierozumiał. Ja ją rozumiem z gruntu.

— Rozumiesz, ale jej nie czujesz.

— Bo któż sercem bierze się do pojmowania idei?

— Taką ideą tylko sercem można zrozumieć i pojąć, tylko sercem! Ale wy, którzy serca nie macie, którym tylko we łbach wywracają i palą się mózgi...

— Ale pozwól Edmundzie! któż ci powiedział, że tylko pod piersią herbowną bije czułe serce? I pod żebrami człowieka jest serce...

— Które pompuje dwadzieścia kilka funtów krwi co minuta i daje życie jego nędznej lepiance, ale...

— Poczekaj, pozwól! — wołał Kamil, a jego twarz grała wszystkiemi nerwami ognia i zapału, jego usta drżały z niecierpliwości, jego oczy błyszczały jak dwie świece jarzące, jego włosy się rozrzuciły bezładem po głowie, jego cała postać była w takim ogniu i ruchu, jak gdyby stał na beczce i śród huku dział i świerszczenia rac padających na miasto, perorował tysiącom zgromadzonego ludu. — Poczekaj, pozwól! Powiadasz, że ja waszej idei nie rozumiem, że się podnieść do jej wysokości nie zdołam, że nie mam serca i uczuć jej nie potrafię. Słuchaj! ja ci tę ideę opowiem.

— Nie, ja ci twoją opowiem, — zawołał Edmund.

— Słuchaj mnie, moja kolej. Słuchaj, sen ci opowiem.

— Cóż za sen znowu?

— Poczekaj, sen.

— No więc mów, słucham, — rzekł Edmund rzucając się niedbale w kąt sofy a tymczasem Kamil tak zaczął:

— Otóż śniło mi się, że byłem duchem moim na jakiejś wielkiej równinie. Z jednej strony widać było gęstwinę krzaków karłowatych, szeleszczących liściami w powietrzu, z drugiej był las czarny, posępny, odwieczny. W dali pokazywały się dwie olbrzymie mogiły bez krzyżów, które jak piramidy egipskie rysowały się na krańcach niebiosów. Pod lasem stał wyciągnięty, długi, bagnetami najeżony zastęp jakiegoś wojska. Po jego obudwóch skrzydłach stały rozdziawione paszcze spiżowe, przed jego frontem przejeżdżali się na koniach dowódzcy a nad jego głowami unosiły się kruki w powietrzu, mięszając swoje chrypliwe głosy z równie chrypliwemi głosami starszyzny. I była zresztą wielka cisza dokoła a duch mój czuł to, że wielkie losy ważą się na tej równinie. A w tem od strony owych mogił nadciągnął wielki zastęp konnego wojska. Cały ten zastęp błyszczał jak jedna złota tarcza do słońca, migały nad nim różno-barwne proporce, powiewały poważne, złotym krzyżem oznaczone sztandary. Na czele tego zastępu jechał młodzik ognisty, który był kubek w kubek do ciebie podobny. Lecz był ubrany w axamitną karmazynową delią, rysiami podbitą, która była na piersiach spięta złocistemi łapami. Pod delią miał pancerz z szczerego złota, na głowie kołpak soboli z czaplem piórem i brylantową agrafą. — I bardzo ładnie było temu młodzikowi w tym stroju.

Edmund westchnął a Kamil tak mówił dalej:

— W prawem ręku niósł ten młodzik wielką buławę hetmańską i co chwila się to na tę buławę to na swój pancerz złocisty spoglądał. A duch mój powiedział mnie, że wielka próżność jest w tym młodziku.

— Ale fe! cóż mówisz? — przerwał Edmund.

— Tak było, idźmy dalej. Lecz pomimo tej próżności, obaczywszy on ów drugi zastęp pod lasem, uderzył nań w mgnieniu oka i z wielką fantazyą. Przez długi czas trwał huk, jęk, chaos i nic widać nie było. Lecz potem nad tym chaosem wypłynęły jak okrwawione łabędzie, białe, krwią obryzgane sztandary hetmańskie a okrzyki zwycięstwa, wzniosłszy się pod niebiosa, rozleciały się po całej ziemi.

— Piękny sen miałeś kochany Kamilu.

— Poczekaj, bo ja tego młodzika i gdzie indziej widziałem. Otóż byłem znów duchem moim w jakiemś wielkiem mieście. Było to już południe, lecz od świtu słońca już był dnia tego wielki ruch na ulicach, lud się gromadził, stawał, wypytywał się o coś, lecz nakoniec wszystko to zgarnęło się ku jednej z bram miejskich. Brama ta ubrana była w zieleń, wieńce i kwiaty. Z jej drobniutkich wieżyczek powiewały chorągwie a w jej środku był wyniesiony nad wszystko jakiś jaskrawy herb i dwie litery. I cóż powiesz na to? Przypatrzyłem się bliżej i poznałem, że to był twój herb i twoje litery. Lecz niebawem, prawie w samo południe, zrobił się okrzyk wielki pomiędzy ludem, bito w bębny i trąbiono w puzany, i wołano zewsząd: „Już jedzie.“ Jakoż rzeczywiście w tej chwili nadjechał ten młody hetman ze swoim zwycięzkim zastępem. Czynił on widocznie wjazd tryumfalny do miasta. Siedział bowiem sam na wielkim wozie złoconym, do którego łańcuchami byli poprzykuwani jeńce wojenni. Wóz kazano ciągnąć ludowi, który napędzano ztąd i z owąd i bito kijami. Lecz hetman na to wcale nie zważał, on był w swój strój wczorajszy ubrany, deptał nogami po zdobytych chorągwiach, trzymał w ręku buławę i patrzył z tak wyniosłym uśmiechem dokoła, jak gdyby świat podbił i brał go dziś w posiadanie. A duch mój powiedział mi, że z próżności tego młodzika wyrodziła się szkaradna pycha, która siadła na jego mózgu a ogonem obwinęła jego serce dokoła.

— Czekajże, — rzekł na to Edmund spokojnie, co mnie się śniło.

— Ale pozwólże mi, niech skończę. Otóż uczyniwszy on ten wjazd tryumfalny, zajechał przed pałac królewski i nie pokłoniwszy się panu, kazał wszystkich jeńców dla krotochwili pościnać.

— A pfe! Kamilu.

— Tak mi się śniło. Na drugi dzień byłem duchem moim w wielkiej sali senatu. Miała się właśnie odbywać narada i wszyscy już byli, tylko jeszcze owego hetmana nie było. Nareszcie wszedł nadęty jak indyk i rozpuściwszy swoją delię karmazynową jak paw swój ogon pierzasty, zasiadł w przeznaczonej dla siebie stali. Zrobiła się cisza poważna do koła i wszyscy zdawali się pierwszego słowa wyczekiwać od niego.

Lecz on tylko powiódł kilka razy wzrokiem po całem

zgromadzeniu, uśmiechał się sardonicznie, kiwał ręką z niechęcią i nadąwszy swoje obrzękłe policzki, wyszedł ze zgromadzenia.— A mój duch powiedział mi, że duma i pycha owładnęły całą duszę i serce hetmana i zaczyna mu się zdawać, że się stał pół-bogiem, niemającym nikogo sobie równego na ziemi.

— Ach! cóż też gadasz, mój Łaski!

— Pozwólże mi, bo ja jeszcze raz tego hetmana widziałem. Cofnął on się był natenczas z pomiędzy ludzi i osiadł na swoich rozległych ziemiach, które w części odziedziczył po ojcach a w części miał od króla za zasługi nadane. Na tych ziemiach wymurował on sobie ogromny zamek o siedmiu wieżach, z których jedna była tak wysoka że nie miała równej sobie w całym kraju i miała być jeszcze wyższą, bo hetman urodził w swej głowie myśl prawdziwie babilońską i chciał po wieży swej wleść żywcem do nieba. I siedział on sam na tym zamku, codziennie huczne wydawał biesiady, spraszał szlachtę z okolic, karmił ją i poił i kpał ją po staremu, albo dziwne wyprawiał z nią krotochwile. Sam od świtu do nocy pijany, pijany podwójnie i dumą swoją i winem, nieraz najdziksze wyprawiał szaleństwa. W kąt nieboszczyk Kaniowski i Panie Kochanku. Strzelał chłopy i baby jak ptaki, wieszał żydów, cyganów i wszystkich, którzy mu pod zły humor nawinęli się pod oknami, a tym biesiadom i krotochwilom wtórowały głuche, bolesne jęki, dobywające się z głębi piwnic zamkowych...

— Poczekaj! dosyć! — zawołał Edmund. — I ja także sny miewam! Albo na co tu snów? ja ci opowiem prawdę, opowiem ci dalszy ciąg i koniec twojej historyi.

— Mów, dobrze, bardzom ciekawy jej końca, — odpowiedział Kamil z uśmiechem.

— Otóż ja tak siedziałem na moim zamku. Miałem trochę próżności i trochę dumy, nie piłem sam i nie spajałem drugich. Tylko komnaty moje były dla całego świata otwarte, byłem bratem dla braci a ojcem dla tych, którzy byli powierzeni mojej opiece, byłem zawsze słuszny i sprawiedliwy, bo jeżeli mnie znasz, to wiesz, że być inaczej nie mogło. I tak siedziałem tam długo i spokojnie. Ale nieproszeni zbawcy ludzkości, którym djabeł smołą popodpalał mózgownice a powydzierał serca z pod żeber, zaczęli puszczać szmermele po kraju i burzyć, od najniższych warstw społeczeństwa począwszy. Kto miał uczciwe zajęcie i pewne stanowisko swoje w społeczeństwie, ten pracował spokojnie i starał się być pożytecznym krajowi w swoim zawodzie. Ale chałastra, zapaleńcy, przechrzty, czeladnicy, oszuści, złodzieje i zbójcy, dali się podburzyć, a dużo było tej chałastry po kraju. I porobiły się z niej wielkie bandy, które poczęły bić, napadać, rozbijać, rabować. Wkrótce płomień ten się rozszerzył od krańca do krańca, zbójeckie bandy wzrastały z każdym dniem i każdą godziną i w tym stosunku rosła ich srogość i drapiestwo. Więc obróciły się w krótce w kupy gruzów wszelkie miasta i zamki, ruinami stanęły kościoły, w dymiące zgliszcza pozamieniały się wioski, i kraj cały stał się dziką pustynią, — bo ręka tych drapieżców nie znała dla nikogo litości, padały pod nią starce, niewiasty i dzieci, ona nie przebaczyła niczemu, co tylko trąciło pamiątkami przeszłości, tak dalece, że popalono nawet wszystkie xięgi i pisma, i z cmętarzów powyrywano nagrobki. Lecz śród tych mordów i powszechnego zniszczenia, na tej olbrzymiej ruinie kraju, mój zamek jeszcze trzymał się niezdobyty i bronił się ostatkami sił swoich. Już obalono w nim trzy baszty narożne, wystrzelano mi całą załogę, wypełniono trupami fosy, i oblegano mnie bez wytchnienia, lecz ja z kilkunastą sług wiernych zamknąłem się w czwartej baszcie i postanowiłem wytrwać do końca. Tymczasem oblegający, zniecierpliwieni moją wytrwałością, przypuścili szturm nowy. Wyszedłem na krużganek, ażeby się tym nowym rycerzom przypatrzyć. I widziałem ćmę obdartusów, pijanych, zapienionych i wywalanych w krwi i błocie całego kraju. Z nożami i pałkami w rękach, drapali się oni po gzymsach i murach, i miotali mi w oczy najplugawsze przekleństwa. Na ich czele biegł młody człowiek w równych jak oni łachmanach, pijany i zapieniony jak oni, w czerwonej czapce na głowie i z okrwawionym nożem w prawicy. Przypatrzyłom się mu bliżej. - I cóż powiesz na to? — To ty byłeś Kamilu. Z nożem w ręku biegłeś wprost na mnie, jak zbójca lub rzeźnik, i wołałeś drgającemi z wściekłości usty: „Poczekajcie! on przed laty wygrał wielką bitwę, on się umiał poświęcić dla kraju, on był moim przyjacielem w młodości, ja sam jemu gardło poderżnę!—I uderzyłeś z całą siłą w moją basztę, i rozwaliłeś mur, i rzuciłeś się na mnie, a obaliwszy mnie wycieńczonego na ziemię, własną ręką poderżnąłeś mi gardło.— A stanąwszy potem nogami na moim trupie, podniósłeś szlachetną broń twoją do góry i zawołałeś z tryumfem: „Owóż zginął ich potomek ostatni!“

— Fantazye! mój Edmundzie, fantazye!— zawołał na to Kamil.— Tak być nigdy nie mogło. Lecz dajmy na to, gdyby się nawet coś podobnego stało, nie widziałbyś mnie nigdy nadętego ztąd pychą i butą szatańską, bo wiedziałbym o tem zawsze, że czemkolwiek w tej lub owej chwili byłem, byłem tylko narzędziem idei. Lecz opowiedzmy koniec historyi: Po zdobyciu twojego zamku nie długo kraj stał w takiej ruinie. Po potopie nowe słońce błysnęło na niebie. Poznikały w lot ślady mordów i pożogi, ziemia się zazieleniła na nowo a ci, którzy niedawno wściekali się z nożami po kraju, budowali sobie chatki skromne po rolach i oddawali się pracy dla siebie i miłości bliźniego. I ja także chociaż byłem dopiero zwyciężającym hetmanem, siadłem na skromnym kawale roli....

—Bajki to kochany Kamilu -- zawołał Edward. — Ani tam słońce nowe nie wzeszło, ani poznikały tak prędko ślady pożogi i mordów, ale weszły wojska nowe do kraju i wzięły za łeb owe bandy zdziczałej chałastry. Połowa z nich potraciła głowy pod mieczem katowskim, jak słusznie, reszta uciekła, a ty?.... ty dostałeś pomieszanie zmysłów od wyrzutów sumienia.

—Mówisz wcale jak prorok, ale mówisz rzeczy, które niemają z prawdą najmniejszej słuszności.

—Ja tylko chciałem ci pokazać praktycznie, jak wchodzą w życie te idee, które ostatecznościami w świat uderzają.

—Tak.. może.. ale za nadto jaskrawe barwy kładziesz na twoje obrazy, a stąd zdaje mi się, że nie pojmujesz idei. Ale to już poźno, dobranoc ci Edmundzie.

—Dobranoc, obywatelu.

—Cóż! gniewasz się na mnie?

—Ale, skądże znowu? Czyż-to po raz pierwszy zwodzimy z sobą takie dysputy? Dobranoc, Kamilu. (D. c. n.)

Lis i podróżny.

(Bajka.)

Leść komu w oczy broń mnie panie Boże,
Czy ja szalony, wolę bajki prawić;
O bajkę nikt się rozgniewać nie może,
A tymczasem niewinnie można się zabawić.

Gorecki.

Pewien podróżny widział lisa w lesie,
Jak szybko spieszył do jamy,
A widząc że on nic w pysku nie niesie,
Skakał przez drzewa odłamy.

«Cóż się tak spieszysz, rzekł, mój mądry lisie,
«Czyli cię strzelec gdzie goni?
«Czy cię zastano gdzie przy obcej misie,
«Że się tak chronisz pogoni?

»Możeś strzelcowi co borów pilnuje,
»Kurę udusił, lub burzył zwierzynę?
»Teraz się boisz, bo ogar szlakuje,
»Kryjesz się w jamę, strzegąc swą czupryne.»

—«Nie mój łaskawco na to lis odpowie.
«Widzę że łowiec pojawił się w borze,
«Że w sieci łapią; ja mam olej w głowie,
«Wolę się schować, niż tłumaczyć może.

«Bo chociaż niby dziś wilka szukają,
«To mnie złapawszy, łańcuchby włożyli,
«Trzeba by ślęczeć nim się zapytają,
«Za to żem nie wilk, możeby mnie bili.

«A to już taka nasza lisia rola,
«Dla ostrożności skryte kopiem jamy,
«Jak łowiec idzie choć zdala przez pola,
«Nie chcąc wleść w oczy, do jamy zmykamy.

»Bo to myśliwi już wiedzą dokładnie,
«Że lis zająca swym rozumem złapie.
«I silniejszego swem męstwem owładnie,
«Że się i na dach wydrapie.

»Więc nam zagładę przysięgli od dawna,
»Lub z lisiej skóry chcą baranki zrobić,
«A to już taka nasza wiara sławna,
«Nie chcem się na to przerobić.

«Nic nam nie wierzą. Spieszę się więc schować.
«Chociaż niewinny, nie chce się tłumaczyć,
«Nie chce w okowach godziny rachować,
«Nim się im zechce niewinność wybaczyć.

«Nie być pojmanym, z łańcucha trzymany,
«Ni podłej strawy z ich pożywać misy,
«Wolę się schować do sąsiada jamy,
«Bo wszędzie braćmi są lisy.«

Nie głupia to jest ta lisia natura,
Że się nie lubią tłumaczyć nikomu,
Nie chcą być mnichem, nie mając kaptura,
Nosić różaniec ciężki w mnisim domu.

Władysław Siem.....

WISIELEC.

(Dokończenie)

Wyjechawszy na wzgórze pojrzeli jeszcze na wisielca i udali się ku miastu gdzie mieli odebrać pieniądze i popaść konie aby powracać do domo.

Nazajutrz wyszło z zamku o świcie dwóch starościńskich pachołków ażeby odczepić trupa i zdjąć zbroję. Ale czego się najmniej spodziewali zastali szubienicę i stryczek, lecz nie zastali wisielca.

Pachołcy przetarli oczy myśląc iż śpią jeszcze. Jednakowoż rzeczywiście nie było wisielca więc oczewiście nie było i zbroi.

Nadto stryczek niebył ani przecięty lecz w dobrym stanie tak właśnie jak przed powieszeniem skazanego.

Słudzy pobiegli uwiadomić starostę który niewierzył i chciał się przekonać naocznie. Był to pan Jaśnie wielmożny, więc nie wątpił iż dla niego wisielec się znajdzie. Ale rzecz dziwna! nieobaczył tylko tyle właśnie co widzieli jego pachołcy.

I wartoż to mieć oczy!

Cóż stało się z trupem? bo wskazany wisiał na przedenio wczoraj, w przytomności mnóstwa widzów.

Może inny złodziej zakradł się w nocy aby zwledz zbroję znieboszczyka?

Zapewne, lecz biorąc zbroję, czyżby był nie zostawił niepotrzebnego trupa?

Może przyjaciele lub krewni chcieli mu sprawić pogrzeb chrześciański?

Zapewne, lecz wskazany niemiał przyjaciół ani krewnych. Nadto zaś ludzie powodowani uczuciami bogobojnemi byliby wzięli trupa a zostawili zbroje. —

Musiało to być coś innego. Cóż więc było?

Starosta nieposiadał się z podziwienia i gniewu. Zbroja przepadła. Więc ogłosił nagrody dziesięć czerwieńców, ktoby mu zwrócił winowajcę w zbroi jak był powieszony.

Nikt się nie zgłaszał.

Przetrząśnięto domy; nadaremnie. Sprowadzono uczonego z Krakowa i zadano mu następujące pytania:

— Jakim sposobem powieszony mógłby wymknąć się ze stryczka ściągniętego przy szyi na którym wisiał w powietrzu?

Uczony prosił o ośm dni namysłu, a rozważywszy dobrze odpowiedział:

— Żadnym sposobem.

Wtedy zapytano go znowu:

— Czy złodziej skazany na śmierć za kradzież nie mogąc ukraść za życia, może kraść po smierci?

Uczony prosił o trzy dni namysłu a rozważywszy dobrze odpowiedział:

— Może.

— A to znowu jak? zapytano go.

Odpowiedział *iż nie wie.*

Byłto uczony, najuczeńszy czasu swojego.

Odprawiono go zaszczytnie i poprzestano na tej wierze iż powieszony był czarnoksiężnikiem.

Więc zakupiono msze święte na powściągnienie złych duchów, aby się nie mścili na staroście za skazanie na śmierć i na tych co byli przytomni tej śmierci.

Dochód był znaczny.

Tak upłynął miesiąc.

Szubienica stała zawsze na dawnem miejscu, upokorzona, smutna, pogardzana. Bo też było straszne nadużycie położonego w niej zaufania.

Starosta niepoprzestawał domagać się zbroi swojej u ludzi, u Boga i u diabła.

Naprożno!

Nareszcie miał się już najpodobniej pogodzić z koniecznością, kiedy pewnego poranku usłyszał hałas w sieni swojego zamku. Chciał wyjść i dowiedzieć się o przyczynę, kiedy właśnie wszedł kapelan, pierwszy autor niniejszej powieści.

— Illustrissime! wiesz co się stało?

— Niewiem, lecz chcę się dowiedzieć.

— Mogę służyć.

— Cóż takiego?

— Cud boży.

— Doprawdy?

— Wisielec...

— Mów prędzej!

— Jest.

— Gdzie?

— Na szubienicy.

— Powieszony?

— Tak jest.

— W swojej zbroi?

— W zbroi Waszej miłości.

— Słusznie, to była broń moja.

— Nie żywy?

— Umarluteńki. Tylko...

— Tylko co?

— Czy miał ostrogi jak go wieszano?....

— Nie miał.

— Otoż, ma je teraz. Hełm zaś złożył starannie u stóp szubienicy i wisi z głową odkrytą.

— Chodźmy obaczyć, mości kapelanie, chodźmy obaczyć!

Starosta pospieszył na wzgórze, otoczone ciekawymi. Szyja wisielca była na stryczku i tułów był przy szyi i zbroja na tułowie.

— To nadzwyczajne! To cud! to cud! to cud!

Jedni mówili: skruszył się i powrócił, aby się na nowo powiesić.

— Wisiał on zawsze, mówili drudzy, tylko nie mogliśmy go widzieć.

— Ale zkąd się wzięły ostrogi? pytali inni.

— Zapewne powraca z daleka a spieszył się.

— Wiem dobrze iż z daleka czy z bliska nie potrzebowałbym ostróg, gdyż nie byłbym wcale powracał, a tem mniej się spieszył.

I śmiano się i przypatrywano twarzy pokrzywionej opacznie.

Starosta chciał tylko przekonać się o istotnej śmierci i odebrać swą zbroję.

Więc odczepiono trupa, zwleczono świecące przybory i rzucono nagiego na pastwę krukom, które zabrały się tak czynnie, iż w przeciągu dwóch dni był całkiem poszarpany, w przeciągu dni czterech wyglądał jak szmata, a w przeciągu dni dziesięciu nie wyglądał już nijak. Bo jeżeli jeszcze był do czego podobnym, to chyba do tych wisielców, jakich będąc w szkołach rysowaliśmy na pierwszej stronnicy naszych książek z następującym podpisem.

Aspice dynda Bartek
Qui non reddidit tych kartek,
Si hunc librum reddidisset
Bartek w stryczku non fuisset.

— Cóż robił powieszony w przeciągu miesiąca? Jakim sposobem będąc powieszonym umknął, a umknąwszy znowu się powiesił?

Na objaśnienie tych zagadnień, obiegały trzy tłumaczenia odmienne.

Wyznawcy stołów biegających utrzymywali, iż jeżeli w chwili śmierci powieszony miał silną i nieprzymuszoną wolę zniknienia i w tej wytężonej woli zdołał pochłonąć swe ciało, ponieważ wola jest nie materyalną, nie widomą i niedotykalną, więc pochłonięte w niej ciało stawało się bardzo naturalnie niedotykalnem, niematerya lnem, i niewidomem. A że po upływie miesiąca pokazało się znowu na sznurku, to zapewne dla tego, iż w chwili ostatniej

wola osłabiona przez bojaźń nie mogła się wytężyć do tej potęgi aby ciało pochłonąć na wieki.

— Nie jest to doskonała przyczyna, ale przyczyną jest zawsze. Wierz a będziesz pewny.

Teologowie twierdzili inaczej: iż winowajca umknął ze stryczka, ale trapiony wyrzutami sumienia i pragnąc czem prędzej pojednać się z Bogiem nie mógł znieść życia dłużej nad miesiąc. Więc przypiął ostrogi wsiadł na koń i powrócił czem prędzej, aby sam sobie wymierzył sprawiedliwość której uniknął przez zuchwalstwo natury grzesznej. Może to i nieprawda, ale przyczyna jest na wszelki wypadek świątobliwą i budującą, a człowiek obyczajowy, mówiąc stylem Lizdejki, nie poważy się zaprzeczać. Wierz a będziesz pewny.

Nareszcie opowiadano, iż dwaj nasi konni podróżni Bartosz z synem, powracając w nocy do domu po pod szubienicę, posłyszeli jakoweś metalowe westchnienia i szepty jakby ze zbroi pochodzące. Więc przeżegnawszy się pobożnie, zapytali co to takiego? Nie dostali odpowiedzi, ale narzekania trwały ciągle. Więc podnieśli drabinę którą kat zostawił na ziemi, oparli ją o szubienicę, a młodszy wylazłszy po szczeblach zapytał: Czy to ty narzekasz nieboraczku?

— Tak jest, odpowiadał głos zbroi z wielkiem wysileniem.

— Więc żyjesz jeszcze?

— Żyję.

— Żałujesz twego występku?

— Żałuję.

— Dość na tem, odczepię cię! Ewangelia każe wspomagać cierpiących, a żeś jest cierpiący, wspomogę cię i oddam życiu abyś pokutował. Milsza jest Bogu dusza naprawiona niż zepsute ciało.

Więc ojciec z synem odczepili zawieszonego i pojęli łatwo dla czego żył jeszcze. Stryczek zamiast objąć gołą szyję, sparł się jedną stroną o krawędź spuszczonej przyłbicy tak, iż winowajca mógł wisieć nie uduszony.

Zdjąwszy go powieźli do domu i powierzyli staraniom matki i córki.

Ale kto raz kradł, kraść będzie zawsze.

U Bartosza nie było do ukradzenia tylko dwie rzeczy: konik żwawy bułanek i córka szesnastoletnia, blondynka.

Exwisielec postanowił ukraść oboje. Konika bo mu się przyda, córkę bo ją pokochał.

Tedy jednego wieczora okulbaczył konika, przypiął ostrogi aby pospieszać w ucieczce i poszedł cichutko do młodej dziewki.

Ale płochliwe dziecię obudziło się i narobiło hałasu większego niż wprzódy zbroja.

Nadbiegł gospodarz z synem. Złodziej chciał zmykać, było za późno. Złapano go a zwątpiwszy aby się kiedykolwiek mógł opamiętać i poprawić, postanowili wymierzyć sprawiedliwość lepiej, niż to starosta uczynił. Powieźli złodzieja pod szubienicę i powiesili go na nowo z tą jednak ostrożnością, iż hełm zdjęli z głowy i postawili na ziemi, aby się stryczek nie wsparł na podpince jak wprzódy.

Potem wrócili spokojnie do domu.

Takie jest trzecie objaśnienie tego szczególniejszego wypadku. Zwykłemu ludzkiemu rozsądkowi wydaje się ono najprawdopodobniejszem. Ale wiadomo jak bardzo rozum może pobłądzić, jak mało powinien ufać w swe siły, jak grzesznem i zgubnem dla duszy jest zuchwalstwem dociekać wszystkiego własnym rozumem.

Bezpieczniej zatem jest wierzyć niż myśleć.

Dziwno mnie jednak, iż starosta mimo silnej wiary w nienaruszalność swej zbroi, zginął na wojnie od pierwszej kuli nieprzyjacielskiej.

Wisielec musiał być czarnoksiężnikiem.

Wspomnienia z podróży i wycieczek po Kaukazie.

(Ciąg dalszy).

Gospodarz mój nad wszelkie spodziewanie spotkał mię z powitaniem, i wziąwszy za lejce konia, odprowadził go w dogodne miejsce, rzuciwszy na prędce siana. Swej mołodycy zaś polecił nakarmić *służywego*, tak bowiem zowią tam żołnierzy. Kiedy się zaczęli schodzić trzej inni koledzy na wspólną naradę, ja siedząc już z drewnianą łyżką nad misą wybornego barszczu z botwiną i szczawiem, zaprawnego słoniną i pachnącego koprem, zasilałem się z żarłocznością człowieka, co 25 wiorst odbył dnia tego, pieszo zwykle. Skoro wszedł gospodarz, — «Olona, rzekł do gospodyni, dolej barszczu i podaj więcej łyżek: może ci błahorodni ludzie nie pogardzą naszem chłopskiem jedzeniem.» Lecz ci ludzie szlachta, nie dali sobie powtarzać dwa razy zaproszenia: zasiedli do wspólnej misy, a nawet drewniane łyżki aż trzeszczały im w zębach, gdy zaczęli zajadać wyborny barszczyk ze słoninką, który smaczniejszym nam się wydał nad rakowe i cytrynowe zupy, w pierwszych restauracyach warszawskich.

Było to wówczas jakieś uroczyste święto; tak u mego gospodarza, jako i wszędzie cały dom był wystrojony: dzieciaczki których kilkoro biegało po sieni i po izbie, schludnie ubrane; mołodyce w koszulach odświeżonych z płótna własnego wyrobu, z wyszywaniami czerwonemi, wykonanemi przez siebie, a parobczaki dorodne i wesołe. Jakoś zdało się nam, że oddychamy zupełnie świeższem niż dotąd powietrzem, bardziej orzeźwiającem tak umysł jak i ciało. Gospodarz, jak zwykle, starał się poufną z nami rozpocząć rozmowę, i z zadziwieniem słuchał gdyśmy mu opowiadalali z jak daleka idziemy.

Nad wieczorem cała wieś była w ruchu. Po ulicach snuły się gromady zdrowych parobczaków, rumianych mo-

łodyc, rześkich dziewcząt; lecz trudno się było zbliżyć z tą młodą ludnością wsi: jakieś niedowierzanie żołnierzowi zawsze w nich było widać. Starsi innem już na nas patrzyli okiem. Moi mianowicie gospodarstwo prawdziwie gościnni, wszelkiemi sposobami starali się okazywać mi swą gościnność. Na noc, najlepszą jaką mieli pościel usłali mi w swej izdebce; ale zdziwili się gdym im oświadczył, że lubię sypiać na otwartem powietrzu, bez żadnych pierzyn, na swej skórzanej poduszce.

— „W takim razie, rzekł gospodarz, najstósowniejsze dla ciebie łoże będzie na sianku, którego trochę jeszcze mi tam zostaje.” Wtedy poprowadził mię do zagrody, ukazał stóg niezmierny siana, a przystawiwszy drabinę, sam naprzód wdzierał się do góry, zapraszając mię za sobą. Natychmiast własną ręką na szczycie stogu usłał mi posłanie, przykrywszy białem prześcieradłem, i wciągnąwszy za sobą moję poduszkę i płaszcz. Nie wiem czy kiedy najgościnniejszy z naszej szlachty tyle siana podesłał dla swych gości, gdy ich układał pokotem w oficynie po hucznej zabawie, ile ja owej nocy miałem go pod sobą, i nie wiem czy kto przyjemniejszy kiedy miał nocleg. Po dziennym upale, orzeźwiający powiewał wietrzyk. Niebo iskrzyło się gwiazdkami, księżyc już po nowiu dwuznaczne rozlewał światełko nad wioską, a głosy, śpiewy i wrzawa ochoczej młodzieży, późno po północy po całej rozlegały się wiosce. Długo usnąć nie mogłem. Na tej ziemi już z imienia kaukazkiej, jakieś dziwne czułem uspokojenie: zdało mi się, żem dobiegł już w części do kresu.

Rano słońce dobrze już wzbite mocno dogrzewało, kiedy koledzy zszedłszy się, pakowali rzeczy, i z pomocą gospodarza zaprzęgali konika, wołając mię po imieniu i budząc twardo jeszcze śpiącego na wierzchołku stogu. Zerwałem się i stanąłem na równe nogi na stogu, jak koń Trajana na pomniku, zdziwiony, żem się dał wyprzedzić kolegom. A ledwiem się umył i ubrał, już gospodyni przyszykowała jaglanej kaszy w mleku dla mnie i dla towarzyszów. Długośmy się spierali, nim gospodarz zezwolił, abyśmy wywdzięczając się, dali dzieciom jaki upominek. A nadto jeszcze na drogę kazał nam zawinąć kawał słoniny i chleba. Nie godziło się odrzucać daru z dobrego serca danego, i przyjęliśmy to jako dowód poczciwości, i spożyli później ten przysmak małoruskich wieśniaków, jak najwykwintniejszą jaką potrawę pańską.

Ranek był cudowny, gdyśmy wyciągnęli z wioski na równe i rozległe pola. Słońce wstało okazale i najpiękniejszy zapowiadało dzień południowego lata. Na niebie ani jednej plamki, ani cienia mgły. Przecież błękit jego nie miał tej świeżości jak u nas w tej porze. Nie widziałem tam nigdy tego ciemnego szafiru. Sklep niebios zawsze obciągnięty jakby matem, bez świeżości, której widok u nas zda się orzeźwiać myśl i czucie, blado-błękitny, mdły. Stepy piękne, z bujną trawą i ziołami; lecz rola w blizkości wsi i osad chyba uprawiana, zresztą leży odłogiem, nie utrudzana pługiem albo sochą. Lecz inny rodzaj przemysłu ożywia i wzbogaca te strony, mniej wymagający rąk, a odpowiedniejszy miejscowości bogatej w paszę; — chów bydła i trzód owiec. Po kilka tysięcy czasem jeden gospodarz wypędza w pole; po kilka tysięcy tłoczy się krówek i wołów do jednego obszernego podwórza. Nabiał tu prawie bez żadnego użytku i wartości, bo mieszkańcy nie mając nań odbytu, całą massę mleka, nie przerabiając go na sery lub masło, sami spożywają z familiami. (C. d. n.)

Rozmaitość.

Proces Dumasa z wdową Balzaka z domu Rzewuską.

(Dokończenie.)

Gdyby chodziło o wzniesienie statuy Balzakowi na placu publicznym, lub w jego mieście rodzinnem, Mousquetaire miałby zupełną słuszność; ale rzecz inna, jeżeli idzie o nagrobek, do którego wdowa ma niezawodnie pierwsze prawo, bo grób męża jest świętą jej własnością. Teatra, koncerta, bale, na których postrojone kobiety tańcując, zbierały na grobowiec składkę ze śmiechem i wrzawą, musiały koniecznie zranić do głębi każdą tkliwszą duszę, a cóż dopiero serce kochającej i opłakującej stratę męża kobiety.

Zrozumiał to, choć trochę późno Dumas; a mianowicie też począł się obawiać, że przegra sprawę. Pomiarkowawszy więc, że nie w swoje wdał sie rzeczy, w te słowa pisze do pani Balzak, chcąc zagodzić sprawę bez sądu:

„Pani! Zapewniają mnie, (ponieważ sama nie raczyłaś mi tego powiedzieć,) że zadrasnęła twe wdowie serce publiczna składka, przeznaczona na wzniesienie pomnika sławnemu pisarzowi, którego wielbiliśmy za życia, a płaczemy po śmierci, coraz go więcej ceniąc; bo Balzak należy do rzędu tych ludzi, których sława przyrasta z czasem.

„Mówisz pani, że sama nagrobek mężowi wystawisz. Pozwalam sobie zwrócić jej uwagę, że każdy człowiek majętny ma prawo do nagrobka, — pomnik zaś tylko sławny mieć może.

„Ale uspokój się pani: nie nagrobek, ale pomnik chcemy stawiać Balzakowi. Francya cała, wszyscy artyści przez mój organ, nie czego innego się domagają. Rząd, albo ty pani, naznaczysz miejsce, gdzie pomnik ten ma być wystawiony.

„Prawa twoje uznajemy całkowicie. Słusznie mówisz, że grób należy do rodziny: ale słuszna jest także, żeby potomność zajęła się pomnikiem.

„Szczęśliwi, którzy prawo do potomności znaleźli we trzy lata po skonie!” Aleksander Dumas.

Ta spóźniona delikatność nie wstrzymała procesu.

Adwokaci stron obu wymownie bronili swych klientów. Adwokat Dumasa, pan de Villeneuve, na usprawiedliwienie jego pomysłu, przytacza dawniej ogłoszony artykuł jednego z poważnych dzienników, w którym po recenzyi nowej sztuki nieudolnie przerobionej ze sławnego romansu Balzaka: „Le Lys dans la vallée,” krytyk mówi w te słowa:

„Podczas kiedy tak niemiłosiernie porzą, krają, i zeszywają wedle kaprysu dzieło jego, wiecie co się stało ze zwłokami autora? Wczoraj, wywołując drogie cienie przyjaciół, których Bóg do siebie powołał, błądziłem po labiryncie martwego miasta: Père Lachaise. Obok dwóch pięknych nagrobków w których Kazimierz Delavigne i Karol Nodier spoczywają, znalazłem kamień, zarosły trawą, a na nim wyryte te słowa: „Honoryusz de Balzac, urodzony w Tours w maju 1799 zmarły w Paryżu w czerwcu 1850.”

„Żaden przechodzień nie zatrzymał się przed tym grobem, bo któż odgadnie, że tam popioły genialnego męża schowane? Trawa zarosła imię jego!

„Lada komu wznoszą złote pomniki, a o tym myślicielu, o tym ar-

cheologu inwentarza socyalnego, o tym sekretarzu towarzystwa francuzkiego (jak sam siebie nazywał) zapomnieli tak prędko Francuzi?!

„Nie to być nie może, żeby grób człowieka, który tak do głębi przewiercił serce ludzkie; który, że tak powiem spisał inwentarz cnot i zbrodni naszych: żeby mówię grób jego miał niknąć pod zielskiem! Miejsce na którem pochowany, wybornie jest wybrane. Po jednej stronie cała ogromna panorama Paryża roztacza się bez końca, z drugiej ciągną się długie cyprysowe ulice, a w nich cisza wieczysta i groby. Trzeba koniecznie w miejscu tego kamienia postawić za składkowe pieniądze pyszne, bronzowe mauzoleum. Niechaj je wzniosą ręce tylu artystów, niegdyś przyjaciół zmarłego, a na bronzie niech wyryją: „autor Ludzkiej Komedyi.“ Wtedy sprawiedliwość będzie wymierzona.“

Koniec końców, po długich debatach sąd wydał wyrok, którym, po wielu *zważywszy*, przysądza Ewie-Konstancyi-Wiktoryi Rzewuskiej wdowie Balzac, prawo stawiania nadgrobku dla męża, a Dumasowi, prawo wzniesienia mu pomnika za składkowe pieniądze; koszta zaś procesu rozdzielił pomiędzy obie strony zarówno.

* **Mody paryskie.** Przy gustownym ubiorze najwięcej zwracają uwagi na obuwie. Botynki zawsze są w modzie które poczynają robić bardzo spiczaste, przez co noga wydaje się mniejsza. Robią z rozmaitych materyi; dotąd jeszcze dobierają często tej samej materyi, co suknia. Suknie bareżowe widać coraz częściej. Osobliwie noszą jasne lilia, które przechodzi powoli aż w najciemniejszy fiolet; albo noszą zielone, łamiące się w kilka odcieni. Ile wolantów, tyle bywa rozmaitych odcieni, a na każdym wolancie wstążka grodenaplowa w tym samym odcieniu co falbana. Często biorą i satynowaną wstążkę gazową, która nierównie świeżej wygląda. Stanik podobnych sukien układa się w fałdy, a te fałdy gubią się w baskinach również w fałdy ułożonych, tak iż się wydaje iż to jest przydłużenie fałdów stanika. Na każdej pole u baskiny jest rusza, odpowiadająca zupełnie ruszom na wolantach upiętym. Stanik aż do pasa otwarty, i spięty jedynie kokardą z wstążki, której długie dosyć końce wydają się jakby pasek u stanika. Rękawki tworzą trzy duże bufy, przewiązane wstążkami i kokardami o długich końcach na zewnętrznej stronie rękawów.

Do najmodniejszych rzeczy należy mantyla kastylska i Regent. Kastylska jest z czarnej marseliny, z ramienia spadają poły wycinane w prostokąty. Garnirowane są płasko bufowaną wstążką i kokardami. Regent zaś jest to mały płaszczyk, wolanty w rurki fałdowane, garnirowane koronką i ruszami z wstążek. Płaszczyk ten wysoko pod szyję zachodzi, i używany jest najwięcej w kąpielach.

Dołączona do przeszłego numeru Nowin dla prenumerantów mód rycina przedstawia:

Nr. 1. Kapelusz zwany Alfonsine, z belgijskiej słomki, ubrany czarną koronką namarszczaną. Fontaź ze wstążki z tyłu na główce. Pod spodem, na brzegu kani, ruszka z białej blondynki, mająca środek z czarnej wązkiej blondynki. Pod spodem ubrany blondynką i kwiatami polnemi.

Nr. 2. Skromny kołnierzyk, dlą młodej osoby. Kołnierz ułożony w bufki, obszyty w koło wstążką haftowaną, ubrany koronką valencienne. Przód ze wstawki haftowanej i koronki valencienne.

Nr. 3 Kapelusz ze szarfą. Kapelusz zrobiony z tafty haftowanej słomką. Szarfa z blondyny, składająca ubranie. Pod spodem upięcie z gazy i fontazik z czarnej koronki.

Nr. 4. Czypek blondynowy, ubrany wstążkami dwucieniowemi fioletowemi i liliowemi, ozdobiony pączkami róż.

Nr. 5. Stanik z muszlinu indyjskiego z baskinami; przód formuje bertę, ozdobioną małemi fałdzikami i wstawką haftowaną, obszyty koronką valencienne. Te garnirunki układają się w zęby. Spodnica o trzech falbanach, ozdobiona jak stanik. Kapelusik z Nice od ogrodu lub na brzeg morza. Kapelusik ten robią z muslinu haftowanego, podszyty kolorową jedwabną materią. Brzeg kapelusika jest ozdobiony koronką angielską. Główka w około jest przyozdobiona wieńcem kwiatów polnych, mieszanych z kokardami ze wstążek.

Nr. 6. Czypek wieczorny, z koronki gazowej, ozdobiony wstążkami niebieskiemi, różami majowemi i białym bzem.

Znaczenie poprzednich szarad: **1. Paryż. 2. Dar. 3. Szaty.**

Szarada.

Pierwsza z czwartą rozkazują,
Druga z czwartą ból wywiera,
Z trzeciej czwartej most budują,
Wraz zwierz co ludzi pożera.

Przyjechali od dnia 14. do 16. lipca do Lwowa:

PP. Miączyński Maciej, hr. z Tyśmienicy. Pietruski Konstanty, z Podhorec. Sokołowski Konstanty, z Ulicka. Badeni Aleksander, hr. z Borynicz. Czajkowski Jan, z Kamionki. Baworowski Wiktor, hr. ze Strusowa. Skarbek Władysław, hr. z Tarnopola. Błazowski Krzysztof, z Jasłowic.

PP. Starzewski Józef, hr. z Mogielnicy. Pruszyński Józef, z Pomarzan. Wojciechowski Wiktor, z Dombrowy. Sliwiński Wojciech, z Dąbrowicy. Krasicki Aleksander, hr. z Dubiecka. Serwatowski Jan, z Tarnopola. Dzieduszycki Tytus, hr. z Tarnopola. Krasicki Edward, hr. z Brodów.

PP. Żebrowski Tadeusz, ze Żurawna. Bocheński Wiktor, ze Żurowa. Dzieduszycki Kazimierz, hr. z Niesłuchowa. Kunczewicz Klemens, ze Stanimierza. Kruszyński Henryk, z Lubienia. Czermiński Stanisław, z Przemyśla. Romaszkan Antoni, z Borakówki.

Wyjechali od dnia 14. do 16. lipca ze Lwowa:

PP. Pawlikowski Leonard, do Majdan. Żebrowski Tadeusz, do Żurawna. Kaczkowski Teofil, do Lubienia. Szumlański Feliks, do Podhajec. Cielecki Alfred, do Manasterzysk.

PP. Borkowski Bolesław, hr. do Komarnik. Thorznicki Piotr i Jan, do Dąbrówki. Winnicki Tytus, do Liska. Krasiński Piotr, hr. do Rohatyna. Rubczyński Władysław, do Popiec. Tarnawski Dyonizy, do Brzeżan.

PP. Scelig Ernest, do Krakowa. Czacki Michał, do Brzeżan. Krasicki Ludwik, hr. do Rohatyna. Stemkiewicz Hipolit, do Czortkowa. Krasicki Edmund, hr. do Bartatowa. Malczyński Juliusz, do Gródka.

Kurs lwowski.

Dzisiejszy.		Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	złr.	6	kr. 4	złr. 6	kr. 8.
Dukat cesarski	"	6	„ 7	„ 6	„ 10.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10	„ 35	„ 10	„ 40.
Rubel srebrny rosyjski	"	2	„ 2	„ 2	„ 4.
Talar pruski	"	1	„ 56	„ 1	„ 59.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1	„ 29	„ 1	„ 30.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	"	92	„ 50	„ 93	„ 20.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	129¼.	Medyolan za 300 lirów	127½.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	156.
Frankfurt za 120 złr. podług 24½ stopy	128¼.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	30.
Genua	—.	Pożyczka 5% 85⅞. 4½	75.
Hamburg za 100 tal. banco.	95½.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	1260.
Liwurno	—.	Kolej północna	1705.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 33.	Obl. ind.	5%. —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**